Nr. 34. Sobota dnia 23-go sierpnia 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę piętnastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Galatów rozdz. V, wiersz 25, 26, i rozdział VI, wiersz 1—10.

Bracia! Jeżeli żyjemy duchem, duchem i postępujemy. Nie stawajmy się chciwi próżnej chwały, jedni drugich drażniąc, jedni drugim zazdroszcząc. — Bracia! Jeśliby też człowiek ubieżony był w jakim upadku, wy, którzy duchowni jesteście, nauczajcie takiego w duchu cichości, patrząc samego siebie, abyś i ty nie był kuszony. Jeden drugiego brzemiona noście, a tak wypełnicie zakon Chrystusów. Albowiem jeśli kto mniema, żeby czem był, gdyż niczem nie jest, sam siebie oszukiwa. A każdy niech sprawy swojej doświadcza, a tak w samym sobie tylko przechwalanie mieć będzie, a nie w drugim, bo każdy własne brzemię poniesie. A niech użycza wszystkich dóbr ten, który bywa nauczany w słowie, temu, który go naucza. Nie błądźcie, nie da się Bóg z Siebie naśmiewać, albowiem co będzie siał człowiek, to też będzie żął. A kto sieje na swem ciele, z ciała też żąć będzie skażenie: a kto sieje na duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny. A dobrze czyniąc, nie ustawajmy, albowiem czasu swego żąć będziemy nie ustając. A przeto póki czas mamy, czyńmy dobrze wszystkim, a naiwięcej domownikom wiary.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział VII, wiersz 11—16.

W on czas szedł Jezus do miasta, które zowią Naim, a z nim szli uczniowie jego, i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramy miejskiej, alić wynoszą umarłego syna jedynego matki jego: a ta była wdowa; a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią, i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpiwszy, dotknął się mar, (a ci, co nieśli, stanęli). I rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię, wstań! I usiadł on, który był umarły, i począł mówić. I oddał go matce jego. I wziął wszystkich strach, i wielbili Boga, mówiąc: że Prorok wielki powstał między nami, a iż Bóg nawiedził lud Swój.

NAUKA.

Co to jest śmierć?

„Gdy się przybliżył P. Jezus ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego."

Umarł w Naim młodzieniec, ciało więc jego na mary składają, na cmentarz wynoszą. Matka jego, cała zasmucona, postępuje za nim i płacze. Syn to jej jedyny, syn ukochany, a dzisiaj ma on spocząć w grobie, więc płacze. Po śmierci męża on sam jeden był jej pociechą, podporą, a dziś na marach ta pociecha jej, więc płacze. Wtem nadchodzi Pan Jezus, a ujrzawszy ją, mówi: „Nie płacz". Wnet potem dotyka się mar, wołając: „Młodzieńcze, tobie mówię, wstań!" I usiadł, który był umarły, i począł mówić, i oddał go matce jego. I smutek jej zmienił się odrazu w wesele, a łzy w radość bez końca.

W miasteczku Naim umarł młodzieniec. Nie dufaj i ty zbytecznie młodości twojej, a nie mów: śmierć moja odemnie jeszcze daleko gdzieś za górami, gdzieś za lasami. Choćżeś młody, możesz jednak dziś umrzeć, a jutro w grobie odpocząć. Pamiętajże o tem, pamięć bowiem na śmierć, to zbawienie nasze.

Cóż to jest śmierć? — Śmierć, to rozłączenie duszy od ciała. Dusza wtedy idzie do wieczności, ciało zaś na ziemi zostaje. Ze śmiercią więc życie się nasze nie kończy, ale rozpoczyna; kończy się życie doczesne, rozpoczyna wieczne. Jakby przez kładkę przechodzi czowiek przy śmierci z jednego brzegu na drugi, z brzegu tej ziemi na brzeg wieczności. Tam dusza nasza żyć nie przestanie. Czy ty jednak o tem pamiętasz? Czy masz jakie staranie o to, aby duszy dobrze tam było w wieczności?

A wiem, że o ciało twoje ty się troszczysz nie mało. Wiem, że nigdy o tem nie zapominasz, co będziesz jadł, co pił, czem się przyodziejesz. Wiem, jak chatę twoją starannie na zimę dokoła oblepiasz i zatykasz wszelakie szczeliny, aby ci wśród mrozów było w niej cieplutko. Wiem jeszcze, jak różne zapasy gromadzisz pilnie na zimę dla siebie, dla chudoby swojej, aby ci potem niczego nie brakło — choć to wszystko ciału na krótko potrzebne. A dla duszy jakież masz staranie na jej wieczność całą? Czy zbawienie twoje leży ci na głowie? Nie wiele podobno, bo wszystkiego skąpisz tak bardzo twej duszy. I słowa Bożego jej skąpisz, i modlitwy, i jałmużny i umartwienia jakiego. Dla ciała toś szczodry, dla duszy skąpy, że jej i spowiedzi żałujesz i Komunii i wysłuchania Mszy świętej. Pamiętaj jednak, że co teraz siejesz, to potem żąć będziesz w wieczności.

Co to jest śmierć? — Śmierć, to zamiana ciała naszego w zgniliznę, w robactwo. Przybliż się do trumny, w której nieboszczyk spoczywa, a łatwo się o tem przekonasz. Straszny on, nie prawda? Choć to ojciec twój, choć to żona twoja, jakaż ona straszna dla ciebie. W jednej izdebce sam jeden z tym nieboszczykiem nie chciałbyś nocować. Tak go straszliwie śmierć odmieniła. Bo oczy jego zapadłe — twarz przeciągła, blada — całe ciało skostniałe. Gdzież się podziało to życie, co niedawno ożywiało tego nieboszczyka? Uleciało wraz z duszą jego.

I z tobą śmierć sprawi to samo. Pokryje więc trupią bladością oblicze twoje, choć teraz dbasz tak wiele o jego urodę; zamknie te oczy, co tam i sam lubieżnie teraz biegają; uspokoi ten język, co teraz ludziom spokoju nie daje; złamie to serce, co więcej świat kochało, niż Boga. Wnet i robactwo w oczach się twoich rozgości, w ustach, w sercu twojem, wnet i zgnilizna toczyć pocznie twe ciało. Wtedy to

i twoi najbliżsi wyniosą cię z domu czemprędzej, bo im tylko zawadzasz. A teraz to ciało twoje bożyszczem dla ciebie. Dla niego ty żyjesz, dla niego tylko pracujesz i tak wiernie mu służysz. A oto przyjdzie czas, kiedy to ciało śmierć w trupa zamieni, a wtedy wszyscy niem pogardzą.

Co to jest śmierć? — Śmierć, to ogołocenie nas ze wszystkiego, co posiadamy. Pójdźmy na chwilę na cmentarz. Ileż tu grobów, a w grobach tych spoczywa niejeden, co posiadał i roli bogato i obszerne domostwa i czeladzi nie mało. Dawniej rola jego mu nie wystarczała, a dziś cztery łokcie ziemi całkiem mu wystarczą. Dawniej było mu ciasno w domostwach jego, a dziś tak mu w tej trumnie przestronno. Liczna czeladź jego nie mogła mu jakoś dawniej dogodzić, a teraz dogadza mu zupełnie robactwo, co go pożera. — To wstańże z grobu twego, ty, niegdyś możny człowiecze, bogaty niegdyś, dostatni, i powiedz, co sądzisz teraz o bogactwach doczesnych. Marność nad marnościami — powiada — i wszystko marność, za czem się tak bardzo ludzie ubiegają.

Cóż myślisz? czy śmierć zrobi dla ciebie może wyjątek? Czy cokolwiek z tego, co teraz posiadasz, pozwoli ci z sobą zabrać do grobu? Co prawda zabierzesz, ale łzy tylko tych wdów i sierót, któreś niesumiennie ukrzywdził, ale przekleństwa tych, z którymi niesprawiedliwie procesy prowadzisz, ale skargi tych robotników, którym zatrzymałeś zapłatę. Spocznie jeszcze na grobie twym i przekleństwo twych dzieci, żeś rolę twą przepił, żeś z torbami je puścił. Oto cała twa spuścizna! Miejże więc rozum, a sądów Bożych się bój, a tego się strzeż, abyś kogo nie skrzywdził, choćby na grosz jeden. Bo i tak cztery deski i koszula śmiertelna, oto cała twoja posiadłość po śmierci.

Co to jest śmierć? — Śmierć to rozłączenie nasze z temi osobami, z któremi pod jednym dachem teraz żyjemy. Tak, nie dalej jak do grobu odprowadzą nas nasi najbliżsi, a potem nas samych zostawią. Tam jeszcze na trumnę naszą rzucą grudkę ziemi, łzą miłości ją skropią, wieczne odpoczywanie powiedzą, a potem nas samych zostawią. A niedługo potem może i całkiem o nas zapomną.

Z najbliższymi nawet śmierć nas rozłączy, wspomnienie nawet o nas powoli w ich pamięci zatrze. Przyjdzie więc tobie, mężu, rozłączyć się z żoną, żonie zaś z mężem, a tobie matko z najdroższą dzieciną. I zapłaczesz wtedy i ty, jak ona matka Naimska, kiedy ukochanie twoje w trumnie odpocznie. Zapłacz, bo płakać ci wolno, ale nie rozpaczaj. Wiesz przecie, że śmierć to początek życia wiecznego. I staniesz nad grobem i po raz ostatni trumnę twej dzieciny skropisz łzą boleści i garść ziemi dorzucisz na jej mogiłę, i wieczne odpoczywanie wyszepcesz nabożnie. Tak, dziecię twoje wiecznie z Bogiem odpocznie, jeśliś je wychowała pobożnie i czekać będzie na ciebie tam w niebie. Nie rozpaczaj więc, bo śmierć rozłączyła cię z ukochaniem twojem tylko na chwilę.

Śmierć nas rozłączy z wszystkimi; i ciebie, człowiecze rozpustny, śmierć ta rozłączy z nałożnicą twoją. Dziś ona więcej u ciebie, niż dusza twoja, niż Bóg sam. Dla jej pięknej twarzy, dla czarnych jej oczu, i nieba i Boga ty dziś wyrzekasz, ale co powiesz o tem przy śmierci, co powiesz po śmierci? Więc się opamiętaj, rozłącz się z nią, zanim cię śmierć od niej rozłączy.

Oto obraz śmierci. Naokoło nas robi śmierć spustoszenie wielkie, wszystko nam wydziera, wszystkiego pozbawia. Wydziera nam życie doczesne, a do wiecznej wprowadza krainy; wydziera nam ciało nasze i do grobu strąca i na pastwę robactwu oddaje; jeszcze nam i dostatki nasze wydziera i pozbawia nas najdroższych nam osób. Oto obraz śmierci. Ale obraz ten jakiż on pożyteczny dla nas i pouczający. Wieluż on do Boga nawrócił grzeszników. Niechże i z naszych oczu obraz ten nie znika, a utrzymamy się wtedy przy Bogu, a spokojnie będziemy kiedyś umierać, jak umierał Robert Bellarmin, kardynał. Śmierci on wcale się nie bał, nawet tęsknił za nią. Kiedy się ostatnia jego godzina zbliżała, pochwycił palcami skórę na ręce, mówiąc: „Cóż czynisz, cielsko, ty pastwo robactwa? Czemuż jeszcze trzymasz się mych kości? Czemuż mi nie pozwalasz wejść do domu mego? Odczep się przecie odemnie. Panie, dłużej mi na tej ziemi bawić niepodobna, zabierz mię do Siebie! Daj mi skrzydła gołębie, bym się uniósł w powietrze i spoczął przy Tobie! Kiedyż stanę przed obliczem Boga?" Domownicy chcieli kardynała pocieszyć, a on mówił z nimi o śmierci, o której zawsze myślał, której tak gorąco pożądał.

„Gdy się przybliżał Jezus ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego". I nas tak kiedyś wyniosą. Pamiętajmy o tem. Amen

Nie płaczcie, smutni...

Nie płaczcie, smutni! Ach, czy wy myślicie,
Że Bóg, rzucając was w cierpienia życie,
Zamknął się wiecznie w gwiaździstem gdzieś niebie
I wiedzieć nie chce o ludzkiej potrzebie?
Mówią wam inni, że ust waszych skarga
Nigdy spokoju Boskiego nie starga,
Że sam On, siadłszy na niebieskim tronie
Was już znać nie chce — rad w ziemi łzach tonie...
Nie wierzcie takim; wy łzą waszą dumni
Bądźcie, a w życia cierpieniach rozumni.
Niech inni bluźnią, niech inni szaleją,
Wy jednak wiarą, miłością, nadzieją
Krzepcie swe dusze i serca hartujcie,
Łzami nie gardźcie, lecz się i nie trujcie.
Przejdzie czas próby — i dla was tu róże
Zakwitną wreszcie tak piękne, tak duże,
Jak łzy Chrystusa, co je wam zasieje,
A krwią już skropił... O, miejcie nadzieję!

Z krainy złotych półksiężyców.

Niezwykły ruch panował w białym pałacu Mahmeda. Pod wysokiemi kolumnami przesuwały się śpiesznie a cicho czarne postacie niewolnic. W odległym pawilonie szepty i ciekawe pytania kobiet krzyżowały się błyskawicznie.

Harem wrzał. W ciche, ospałe życie odalisek możnego pana, wpadła wieść ciekawa i zburzyła spokój, zdmuchnęła ospałość z przymrużonych oczu spowitych w muśliny niewolnic rozkoszy.

Co wzbudziło ten ruch i ciekawość?

Przychodziła nowa... Z dalekich stron, z krainy zimna i wichru, z łona walecznego narodu szła rywalka tem potężniejsza, że nieznana... obca

W okrągłej sali, wyzłoconej i pokrytej barwnemi matami, o oknach zakrytych lekkiemi oponami, przed wielką, gładko wypolerowaną taflą szczerego srebra, stała ona. Czarne niewolnice w trwożnym lęku pełzały u jej stóp, ich drobne ręce ledwie jej dotykały, wrzucając na jej sztywną postać suknię białą, powiewną jak obłok, a długą jak sutanna. Dziwny, nieznany krój stroju i blada twarz cudzoziemki rzucały jakiś cień na czarne oblicza niewolnic. Tak chciały jej dogodzić, a ona cicha nie spojrzy nawet na nie, nie zauważy ich psiej uległości i chęci zwrócenia uwagi. Dziwna... obca...

Na białym dywanie, tkanym w lekkie, różowe motyle, stoi nieruchomo młoda dziewczyna. Słońce wpada przez opony u wielkich okien i rzuca garść blasków na jej bujne włosy, tak złote, jak słońca promienie. Blade czoło, ujęte w złotą obręcz, nad którą lśni brylantową gwiazdą, marszczy głęboka zaduma.

Jak tu bogato, jak jasno, zacisznie, jak pięknie!...

Ale jakże ją boli ten przepych, bogactwo jej wrogów! Każdy kamień drogi, każdy sprzęt bogaty, to łzy, to dobro jej ziomków, zrabowane, skradzione. Jakże dzień dzisiejszy niepodobny do kilku poprzednich. Tak niedawno jeszcze stąpała po zimnych głazach podwórza rodzinnej wioski, patrzyła w szare, zimne niebo, nosiła grubą, prostą odzież, a włosy w ciężkie plotła warkocze. Tak niedawno jeszcze tuliła pierś swą do kochającego serca sióstr i braci, czuła jeszcze ich uścisk i jego...

Gdzie on teraz? Już jej nie zobaczy. Prawda, odważny on, bitny i możny, ale tu władza jego nie sięga.

Oto dnia pewnego, w złej gorzkiej godzinie spadł na ich osiedle wróg straszny, niespodziany. I choć z całą siłą, z rozpaczy okrzykiem rzucili się nań napadnięci, uledz musieli. Wróg silny był i liczniejszy.

Nocą, w krwawej łunie pożaru uniesiono ją. I wieźli ją odtąd długo, bardzo długo. Nie pomni, ile miast, ile wiosek mignęło w oddali, tylko słyszy słabe odgłosy rozmowy. To żołdaki sułtańskie, chwalą się i cieszą, że kraj jej się broni przed wojną i grabieżą, lecz oni zwycięstwa są pewni.

Aż tu ją zawieźli! Rzucono ją przed pałacem baszy, na jego łup, łaskę lub niełaskę. Lecz pan łaskawem na nią spojrzał okiem. Kazał mieć pieczę i czuwać nad spoczynkiem. Długo z trwogą wpatrywały się służebne w zamknięte jej oczy i bladą, trupią prawie twarz. Wreszcie dnia jednego otworzyła oczy i zdumiał się legion pokornych sług. To gwiazdy były, nie oczy.

I poszła wieść do pana, że uśpiona zbudziła się.

Więc kazał jak najdroższe klejnoty i suknie z jedwabiu włożyć na brankę, i stawić się jej przed swem obliczem. Lecz dumna dziewczyna odrzuciła obszerne kaftany tureckie, a wybrała sama długą białą suknię, spiętą na ramionach płaskiemi złotemi klamrami. Włosy nie trefione, lecz spięte tylko nad czołem złotym kręgiem, puściła wolno na plecy i ramiona i więcej klejnotów żadnych wziąć na się nie chciała. I stała tak zapatrzona w dal jak biała smukła lilia a nad jej czołem gwiazda brylantowa lśniła jak srebrny robaczek nad kielichem kwiatu.

— Pan czeka — szepnęła nieśmiało służebna.

Dziewczyna drgnęła. Różowe nozdrza zadrżały jej zlekka, a oczy rzuciły błyskawice. Twarz zapłonęła purpurą rumieńca, a ręce zacisnęły się kurczowo. Wstręt i obrzydzenie wstrząsnęły nią.

Więc musi iść! Ona... musi... Dotychczas nie znała tego słowa. Była wolna. Teraz, jak niewolnica, iść musi, bo każą. A rozkazuje wróg. Na tę myśl takim bólem wzbiera jej serce, że, zdaje się, pierś rozsadzi.

Cicho, jak duch biały wysunęła się z komnaty, a za nią, jak cień, szła służebna.

W dużym, chłodnym pokoju, zatłoczonym niskiemi sofami i niższemi jeszcze od nich stoliczkami, z bijącą na środku w białym basenie fontanną wody różanej, czekał Mahmed bej na swą niewolnicę. Wysoka jego postać opięta w kosztowny pas i odziana w złotem tkane szaty, siedziała z podkurczonemi nogami na niskiej sofie. Pod barwnym turbanem na bladej, szczupłej twarzy, lniły żywe, badawcze, czarne oczy. Wąski, kształtny nos, nadawał twarzy wschodniej wyrazistości, usta, tak jak i brodę okrywał gęsty, lśniący, czarny zarost. Ręce suche, nerwowe, ściskały kosztowny cybuch fajki, a oczy z nietajonem oczekiwaniem wpijały się w drzwi.

Cicho, jak pod dotknięciem ręki ducha rozsunęły się purpurowe kotary wchodowych drzwi i na ich tle stanęła młoda branka.

— Panie!

Szept ten dreszczem spłynął do duszy beja. Zachwycił się.

— Pójdź bliżej, spojrz na mnie i usiądź u mych nóg. Jak się zwiesz?

— Marya — odparła dziewczyna, podnosząc nań oczy.

Jak błyskawica mignął mu blask ich i olśnił go swą siłą.

— To słowo musi mieć jakieś znaczenie — spytał łaskawie.

— Tak, znaczy: gwiazda morza.

— Jakże stosowne ono dla ciebie. W istocie, jesteś jak gwiazda jasna i czysta. Siądź bliżej przy mnie.

— Pozwól mi stać panie.

— Podoba mi się twoja pokora i postać twa i włosy twoje i suknia.

Po ustach branki przebiegł dziwny, siłą cofnięty uśmiech.

Bej mówił dalej łaskawie, pożerając ją oczyma.

— Wiesz już może od niewolnic, że skłoniłem me serce ku tobie.

Branka milczała. Ręka beja drżała, gdy mówił.

— Pragnę cię mieć zawsze koło siebie. Otoczę cię zbytkiem, wszystko ci służyć będzie, gdy skiniesz.

Usta dziewczyny drgnęły nieznacznie.

— Dam ci pałace i ogrody cieniste i wielkie, dam ci wszystko moje. Siebie ci dam, bo pragnę twego uśmiechu, bo kocham cię — wyrzekł wreszcie gwałtownie, zniecierpliwiony jej obojętnością. — Czy mało ci tego? odpowiedz!

Bezradnie z zakłopotaniem rozłożyła białe ręce i rzekła cicho:

— Za wiele to dla mnie, za wiele łaski, panie. Nie pragnę wcale skarbów twych, ni mienia, nie pragnę nawet ciebie.

— Zamilcz zuchwała, bo panem tu jestem! Więc czego żądasz?

— Wolności — jak tchnienie echa szepnęła branka, patrząc błagalnie w roziskrzone oczy Mahmeda.

— Nigdy! nie proś, bo jej nie otrzymasz. Bezmyślne stworzenie! Czy nie widzisz, że tu przy mnie królową będziesz pierwszą w mym haremie, tu ci rozkoszy otworzą się wrota, będziesz szczęśliwą, bo gdyś wolną była, byłaś żebraczką!

— Lecz wolną — szepnęła branka.

— Uparta! Czy nie pojmujesz tego szczęścia szczytu, gdy ci dam serce? Ja cię kocham, gwiazdo

Ja pragnę ciebie, ja cię uszczęśliwię, kocham cię, kocham!

— A ja nienawidzę — mówiły gniewne oczy dziewczyny.

— Słuchaj, co powiem. Jam tu pan wszechwładny. Tysiące takich, jak ty, urodziwych miałem w objęciach, były mi powolne, a jeśli zuchwałą mi była która, to patrz... w tym stawie, którego wody do morza uchodzą, topiłem harde... W ciężkim szarym worze życie kończyły. Więc i ty podzielić mogłabyś ich los, lecz cię wpierw posiądę, wpierw będziesz moją.

Drżące ręce wyciągnęły się do niewolnicy i przyciągnęły ją ku piersi beja. Już czuła gorący oddech na swej czystej twarzy, już ręce jego z pożądaniem opasywały jej kibić, gdy zręcznym ruchem wymknęła się z jego objęć.

Oczy dziewczyny gorzały teraz strasznym blaskiem obrażonej dumy. Ręce mimowoli wyciągnęła przed siebie i cofała się w głąb komnaty. Bej patrzył za nią z gniewem, lecz podziwem. Żadna dotąd kobieta nie odtrąciła go od siebie. Wiele rzucało mu się same na piersi i żądały pieszczot, a ta pierwsza dopiero, która go odpycha. Tem więcej stała mu się niezbędną, pożądaną, drogą.

— Czy wiesz — syknął wściekle — że za taki ruch umiera się tutaj?

— I ja umrę, gdy czas i konieczność przyjdzie — odparła Marya.

Więc i śmierci się nie bała, a inne drżały, płakały w lęku śmierci. Zaprawdę, dziwna ta cudzoziemka. Twarda i chłodna, jak stal i jak stal giętka. Zaciekawiała go niepomiernie.

— Posłuchaj panie — rzekła wreszcie — opowiem ci baśń o ziemi mojej. W naszych lasach matki uczą nią dzieci oceny wolności osobistej i czci dziewiczej.

— Dobrze, chcę zapomnieć, żeś mnie obraziła. — Mów mi tę baśń!

Marya przysiadła na niskiej sofce i podparła głowę na dłoni. Oczy utkwiła w zachodzącem słońcu, a z ust jej popłynęły ciche, melodyjne słowa:

— Jak ost od róży, jak dzień od nocy, tak różnym jest kraj mój od tego. Tam jasne słońce wschodzi trochę blade, grzeje, lecz nie pali. Ranki są chłodne, łąki zlane rosą lśnią cudnie w słońcu. Wyniosłe szczyty gór patrzą mu w twarz, a gdy na doliny rankiem światło błyśnie, pije traw rosę i otwiera kwiaty. Cudny jest kraj mój! I w takim to kraju, jak orzeł na górach miał gniazdo władyka. Orzeł ci to był dumny i odważny, z wiatrem szedł w zawody, bawołu z nóg walił, a do jaskółki w lot strzelał...

I miał ten orzeł gniazdo u stóp góry i żył spokojnie. A w gnieździe miał córę; mówiono, że nie masz nad nią. Orlica to była prawa, nieodrodną orłów córa! Aż raz podpatrzył ją władyk młody, obcego gniazda ptaszę, i odtąd zapomnieć nie mógł. Lecz i orlica przylgnęła do młodzieńca i mieli już gniazdko dla siebie uścielać, gdy w tem przyszedł grom. Na cichy gniazd wieniec, usłany u stóp podnóża, spadł sęp, straszny, krwiożerczy, chciwy. Legiony jemu podobnych szło za nim. I spadł grozą na orłów ziemię i wnet krwią ona spłynęła, luną pożaru się zrumieniła, a na pustych polach wiodła tan.... śmierć.

Na tle purpurowego pożarem nieba, u nóg zwalonego orla-ojca, dojrzał sęp orlową córkę. I olśniło go i ócz już oderwać nie mógł. Na rozkaz jego porwano nieszczęsną i porzucono w gniazdo wroga sępa. I oto sęp ci ją kochał, a ona nienawidziła; on ją uwielbiał a ona wstręt czuła; on ją tulił do swej piersi, a ona ucieczby chciała do swej biednej ziemi...

— A koniec, koniec mi mów — drżał bej, rozumiejąc znaczenie tej baśni.

— Koniec smutny, panie. Orlica ginie z tęsknoty.

— O ty orle moje! Nie dam ci zginąć! Zrobię ci świat rajem, otoczę zbytkiem. Pieśnią i rozkoszą poić cię będę. Gwiazdo, patrz, ja proszę, ja błagam cię, zwróć się do mnie, podaj mi dłoń twoją, kochaj mnie choć trochę, choć trochę... — szeptał bej, zbliżając się z wyciągniętemi do uścisku ramiony.

Oczy jego błyszczały, jak dwa brylanty, nozdrza wznosiły się upojeniem, szał z pożądania.

Marya, blada i drżąca, patrzyła na jego zmienioną twarz i oczy ich pasowały się z sobą w milczeniu. Straszna żądza, zapowiadająca jej zgubę, patrzała z pod czarnych brwi beja. Zrozumiała, że to walka na śmierć i życie. W jednej chwili opanowała się, zebrała całą odwagę i spokojnie cofała się. Bej ciągle postępował za nią. Jeszcze krok jeden i ujął jej ręce, wyciągnięte ruchem obronnym. Dłonie Maryi drżały w rozpalonych dłoniach Mahmeda.

— Słuchaj, — szeptał, — to napróżno, musisz być moją, jesteś już nią. Maryo! Maryo!

Pociągnął ją ku sobie i objął drżącemi ramiony. Już czuł zapach jej włosów, już miał dotknąć spragnionemi usty jej białego czoła, gdy w tej chwili zatoczył się, odepchnięty jej silną dłonią.

Wściekły gniewem i obrażoną dumą rzucił się ku niej, lecz zadrżał, gdy w tej drobnej dłoni dostrzegł ostry, długi jatagan, który mu nieznacznie w szamotaniu z pochwy wyciągnęła. On drżał teraz z obawy, a ona stała dumna, jasny uśmiech rozchylił jej purpurowe usta, a oczy błyszczały szczęściem.

— Teraz ci powiem koniec legendy — rzekła z odwagą. — Orły, to górskie ptaki. Gniazda lepią u gór szczytów, słońcu w twarz jasną patrzą. Pioruny im muzyką, a błyskawice światłem. Przepaście ich nie trwożą, pieczary, to ich mieszkanie, a godność, to ich skarb. Jam orłów córa, wierna ich zwyczajom, zdobyć się dam tylko temu, kogo kocham, a wróg mnie nie dosięgnie.

— Nie igraj ze mną, bo na włos proroka przysięgam!

— Nie przysięgaj!

— Zdepczę cię, zmuszę, w mojej jesteś mocy. Nie unikniesz, dosięgnę cię wreszcie.

— Nie dosięgniesz i nie zmusisz.

Wstrząsnął się Mahmed. Postąpił krok jeden, lecz w tej samej chwili nóż błysnął w dłoni dumnej branki, i znikł w fałdach sukni na jej piersi. Cicho, jak kwiat złamany, zsunęła się na śnieżny dywan, a na białej sukni ukazała się wąska smuga krwi.

Bej trupio blady pochylił się nad Maryą, na jej oczy zapadły ciężkie powieki do ostatniego snu.

Długo, długo patrzył na jej czyste, blade czoło, myśli i wrażenia błyskawicami przemykały po zbladłej twarzy. Ciężkie to znać myśli być musiały, bo czoło jego pokryły głębokie fałdy, a usta drżały boleśnie.

Dziwna... obca... niepojęta, ale czysta, jak bóstwo.

W rogu sali na postumencie, w osłonie zielonego jedwabiu, leżała święta księga koranu.

Bej nagłym ruchem zerwał tkaninę i lekko przykrył nią bladą, zimną twarz dumnej dziewczyny.

Słońce dawno zapadło za szczyt gór, księżyc wzniósł się wysoko na bladem niebie, a bej stał ciągle u okna i patrzył na zielone stoki pobliskich wzgórzy.

Tam, wysoko, wśród chmur, wzlatywał i opadał ptak wielki, królewski i zawodził smutne żale.

Było to młode, wolne orlę...

Marya Zdrój-Kvochowa.